

# Przed drogą daleką



---

STEFAN GRABIŃSKI

NIESAMOWITA OPOWIEŚĆ

## *Przed drogą daleką*

(URYWKI Z PAMIĘTNIAKA W. LASOTY)

*Maj 1905*

Nastają dla mnie dni szczęśliwe, pogodne. Jakiś dobry duch zawitał w moje progi i łaska spłynęła w domowe zacisze. Południa mam teraz ciepłe, słońcem nagrzane, wieczory łagodne, kojące. Praca dnia przynosi mi plon hojny; czuję szacunek ludzi, miłość uwielbianej żony. Jestem młody, zdrow i silny. Ramiona moje prężą się męską energią czynu, mózg mój gibki i sprawny rozwiązuje łatwo stawiane sobie zadania. Krokiem elastycznym przemierzam ulice, lekki, młodzieńczo swobodny sycę oko barwną zmiennością rzeczy. Piękny, ciekawy jest świat!...

Szczęśliwie rozpocząłem trzydziesty rok życia. Zapowiada się pomyślnie, wśród wróżb dobrych na przyszłość. Dochodzę do długo upragnionych spełnień, stoję w świecie stopą pewną, spokojnie spoglądam w rozwierające się przede mną dalekie perspektywy. Jestem na drodze do zakreślonych mi przez los mój i zdolności szczytów, czuję, jak wzmożona pracą lat jaźń, pojawiający cel sobie właściwy, zdąża ku niemu rytmem niezachwianym, zdobywczco.

Przyjaciół szanowne głowy chylą się ku mnie gestem życzliwym, zgodne w uznaniu, serdeczne uściski rąk ludzi obcych umacniają mnie w przekonaniu, że życia nie teram<sup>1</sup>, że tu potrzebny i ważny.

Błogosławię ci, życie...

---

Zdaje się, zachodzą we mnie od niedawna, może nawet w tych ostatnich czasach, znaczne zmiany w stosunku do życia i jego przejawów. Zaczynam je pojmować bardziej po ziemsku — więc serdeczniej, goręcej. Zbliżyłem się jakoś do świata, do ludzi i słyszę teraz wyraźniej gorące ich tętno. Życie poczyna mieć dla mnie urok całkiem nowy, dotąd niespodziewany; jakby zdwoiła się dla mnie jego przedziwna uroda.

I szczególnie! Właśnie jego zmysłowość i żywiołowa jurność hipnotyzują mnie teraz nieprzeparacie. Czyżby odwet za bardziej duchowy tryb lat poprzednich?...

Staję się z dniem każdym zapamiętałym wielbicielem kształtów i form, żywiołowej bujności życiowych procesów, cielesnej strony rozwoju. Ja, niegdyś zwolennik eterycznych abstrakcji, twórca fikcji rozwiewnych za najlżejszym tchnieniem, dziś kocham się w plastyce, w *concretum*, nurzam z rozkoszą chorobliwą nawet w małościach dnia. Jest w tym utajony jakiś, głęboki jak morze liryzm, rzewne ukochanie czegoś, co miłe i wrogie zarazem, czarowne i groźne, poważne i naiwne czasem jak dziecko. Jestem dziś dziwnie wyrozumiały i miękki. Patrzę, uśmiecham się pobłaźliwie, jak starzec na swawolące wnuczę, i nagle ni stąd, ni zowąd łzę czuję w oku...

---

*Zima r. 1905*

---

<sup>1</sup>terac (daw.) — marnować, tracić. [przypis edytorski]

Ogarnia mnie coraz przemożniej jakaś niepojęta żądza zabaw, nienasycone pragnienie rozrywek. Chwili nie mogę usiedzieć spokojnie w domu. Zarzuciłem wszystkie niemal swe prace i bawię się, szaleję.

Wciągnąłem w ten dziki wir i Martę. Zrazu opierała się łagodnie, lecz z czasem uległa, jak w ogóle zawsze w stosunku do mnie. Chwilami mam wrażenie, że patrzy na mnie z wylękiem<sup>2</sup> jak na obłąkańca, lecz że ciągle śmieję się z tych jej bezwiednych obaw, uspokojona pozwala się unosić rozkosznemu prądowi.

W kołach znajomych zdobyłem już podobno przydomek „pasjonowanego życiowca” i jako taki nie omieszkuję zjawiać się na każdym wieczorku, wencie<sup>3</sup>, reducie<sup>4</sup>, stawać do zawodów sportowych, zabierać głos na burzliwych zgromadzeniach. Zwróciłem nawet swym trybem życia uwagę prasy, która, o ile przedtem, gdy pracowałem istotnie twórczo i poważnie, usiłowała ignorować mnie stereotypowo „zabójczym” milczeniem, teraz ze wszech stron rzuciła się na mnie zajadle jak na apokaliptyczną bestię. Sypią się pod moim adresem morały o marnowaniu talentu, o warcholstwie życiowym, o manii orgiastycznej itp. Nie zważam na nic i od rana do późnej nocy, a czasem do drugiego rana, szumię jak młokos po linii skrajnej zewnętrzności.

I w życiu erotycznym przekraczam teraz coraz wyraźniej dawniejszą miarę. Co gorsza, czuję, że jestem wprost anormalny. Sądzę, że po części przyczynia się do tego nerwowego sposobu życia, jaki teraz prowadzę. Obudzają się we mnie jakieś pierwotne instynkta i chorobliwa pobudliwość zmysłów.

Żal mi tylko Marty. Wprawdzie jej podatny jak wosk charakter przystosował się niobawem, i to nie bez uczucia wzajemnej rozkoszy, do zmienionych warunków, lecz mimo wszystko ona mi teraz nie wystarcza. Dla mnie jest to chwilami okropne, lecz nie mogę się opanować. Pijany jestem. Na szczęście ona o niczym nie wie; nawet nie przeczuwa. Nie przeniosłaby<sup>5</sup> tego. Owszem, jest teraz dla mnie podwójnie dobra i wyrozumiała. A jednak... a jednak nie czuję się szczęśliwy.

Właściwie nie brak mi niczego, a przecież... jakoś mi dziwnie. Miewam chwile bezdennych prostracji<sup>6</sup> duchowych lub też niepokojów, tak dusznych, że zrywam się w nocy i cichaczem wypadłszy z domu, topię ciemny strach w lubieżnych rozrywkach. Coś mnie dusi, dławi. Czasami boję się własnego cienia i nie śmiem pozostać sam przez parę minut.

Muszę być ustawicznie wśród ludzi, widzieć ludzkie twarze, słyszeć ludzki głos, czuć obecność istot żyjących. Zresztą czuję się coraz częściej okropnie samotny, beznadziejnie izolowany. Niejednokrotnie w czasie najhuczniejszej zabawy, gdy twarz Marty, zaróżowiona od wzruszenia, tchnie tym niewysłowionym blaskiem, który w niej zawsze tak podziwiam, nagle ci piękni, wyfraczeni mężczyźni, wytwornie, do omdlenia czarujące kobiety — wszystko to odsuwa mi się gdzieś w głąb, w daleką, bez kresów perspektywę i zostaję sam wśród jasnej, nużącej zgiefklem światel sali, sam, absolutnie sam...

Samotnik

---

Luty 1906

Oni wszyscy pozostają w nieświadomym porozumieniu co do mojej osoby. Wytworzyła się niemal *entente cordiale*<sup>7</sup> co do postawy, jaką należy przybrać wobec mnie.

Stało się to nie wiadomo jak, ukradkiem prawie, ale niewątpliwie. Oni sami nie zdają sobie z tego sprawy, co właściwie zaszło, i gdybym ich o to zagadnął, z pewnością każdy odpowiedzialby zdumieniem. A przecież zachowują się teraz względem mnie całkiem inaczej niż przedtem. To nie przywidzenie — stanowczo nie! Coś w tym jest. Nie chodzi tu o lekceważenie lub pogardę. Przeciwnie. Ludzie są dla mnie uprzejmi jak dawniej, nawet powiedziałbym czolobitni, lecz... i tu widzę tajemniczą a zgodną u wszystkich zmianę — szacunek ich dla mnie nabrali cech jakby pewnej bojaźni, jakby żywiołowej trwogi. Lecz nie jest to bojaźń czci, ale coś całkiem innego...

Co właściwie w tym tkwi, odgadnąć nie umiem.

---

<sup>2</sup>z wylękiem — dziś raczej: z lękiem a. z załękniem. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>wenta (daw.) — kiermasz, z którego dochody przeznaczone są na cele dobroczynne. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>reduta (daw.) — bal maskowy. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>przenieść coś (daw.) — znieść, wytrzymać coś. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>prostracja — skrajne wyczerpanie psychiczne. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>*entente cordiale* (fr., r.ż.) — serdeczne porozumienie. [przypis edytorski]

Mam tylko wrażenia i odczucia. Ludzie zachowują się wobec mnie z trwoźną rezerwą. Gdy staram się zbliżyć, instynktownie uchylają się, lubo<sup>8</sup> wśród oznak szacunku. Wiem z całą pewnością, że źródłem tego nie jest poczucie niższości, chęć ukorzenia się — nie, wszystko, tylko nie to. Oni raczej traktują mnie jako coś heterogenicznego<sup>9</sup>, niewspółmiernego z nimi, przed czym zdrowy instynkt ostrzega i każe się mieć na baczności. Czasami muszę się uważać wśród nich za ciało obce.

Sytuacja moja jest tym nieznośniejsza, że właśnie teraz najbardziej potrzebuję towarzystwa ludzkiego. Tymczasem gdziekolwiek się pojawię, od razu staję się im ciężarem. Maskują się naturalnie, pokrywając przykre uczucie, jakie wszędzie wywołuję, grymasem grzeczności, lecz ja to dobrze widzę i odczuwam i nie dam się zmylić. Najwidoczniej krępuje ich moja obecność...

Tym to dziwniejsze, że miewam zwykle szalony humor i staram się ubawić ich wszelkimi sposobami. I chwilami udaje mi się wybornie; zapominają jakby o czymś i serdeczna ochota ciepłym nurtem przepływa im po duszy. Lecz wystarczy jakiś drobny szczegół, jakieś słówko poważniejsze, rzucone w przelocie, a wszystko wraca do dawnego stanu i znów robi się wkoło mnie przerażająca pustka...

20 lutego 1906 r.

Zachodzą mi drogę jacyś ludzie nieznanymi i przemawiają słowami zagadek... Pojawiają się znaki, skinienia dziwne i odegrawszy przede mną ciemne swe role, zapadają gdzieś w dal. Przytrafiają się zdarzenia szczególne, zajścia dwuznaczne i przewinawszy się przed mym wylękłym okiem, rozplywają w przestrzeni...

Coś się wkoło mnie dzieje! Na coś się w pobliżu zanosi...

Przed paru dniami byłem z żoną na maskaradzie. Marta w swym przebraniu cygańskim budziła powszechnie zajęcie. Tłumy masek krążyły koło niej bez przerwy. Bawiłem się jak nigdy. Miałem strój rybacki z przewieszonym przez ramię zielonym niewodem<sup>10</sup>. Bezpieczny pod maską, pewny swego *incognito*, drwiłem niemiłosiernie, wywołując na sali wybuchy śmiechu. Nikt nie domyślał się, że złośliwie baraszkujący, pełen szalonej werwy rybitwa<sup>11</sup> i ciemnowłosa Cyganka — to małżeństwo.

Mimo to wśród najhuczniejszej wesołości, gdy rozbawiony tłum wyrывał nas sobie formalnie z objęć, miałem dziwne przykre spotkanie. W pewnej chwili przystąpiło do mnie jakieś wysokie, chude domino i półżartem rzuciło mi, przechodząc, uwagę:

— Wesoły rybak, miotasz się jak opętaniec i wywijasz siecią tak skwapliwie, jak gdybyś chciał nas wszystkich w nią złowić. Lecz niewód twój pusty, zdobycz wymyka ci się z rąk, a śmiech, który tak chciwie zdobywasz, dźwięczy nieszczerze. Czuć cię wodą. Zbyt przesiąkniętą chłodem topieli i teraz przemocą chcesz się tu rozgrzać. Robisz wrażenie cienia, który zapragnął zostać przedmiotem.

Rzuciłem się ku impertynentowi<sup>12</sup>, aby dać mu porządną odprawę, lecz ten wmieszał się natychmiast w tłum bezpowrotnie.

Doznałem nader przykrego wrażenia. Ciemne słowa nieznanego dotknęły mnie głęboko, kojarząc się bezwiednie z nastrojem dni ostatnich. Dopiero dzielna pomoc Marty zatarła następstwa niemiłego epizodu i noc upłynęła nam już do końca pogodnie.

1 marca 1906

Od tygodnia mam noc w noc ciągle ten sam szary sen. Uporczywie powtarza się jakiś obraz beznadziejny suchą monotonią.

<sup>8</sup>lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>heterogeniczny (z gr. *heteros*: inny, *genos*: pochodzenie, ród) — tu: obcy, mający inne pochodzenie, należący do innego rodzaju. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>niewód — ciągniona sieć rybacka złożona z stożkowatego worka (matni) i dwóch długich skrzydeł. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>rybitwa a. rybitw (daw.) — rybak. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>impertynent — człowiek zachowujący się arogancko, obraźliwie wobec kogoś. [przypis edytorski]

Śni się jakaś stroma, zapadła sień z jednym do połowy stłuczonym oknem na podwórze. Z sieni pnie się w górę klatka schodowa, kręta tysiącem przegubów, nużąco długa. Stoję na pierwszych stopniach i wchodzę powoli na piętra. Nogi wloką się leniwo, drewniane, stukają ciężko po dębowych deskach, budząc głuche echa pustej przestrzeni. Stopnie są brudne, opylone grubą warstwą szarego kurzu, który pod uderzeniem obuwia wzbija się śniadą chmurą i dusi. W powietrzu czuć oschłość, język przywiera do podniebienia. A schody wiją się bez końca ku niewidomym<sup>13</sup> piętróm, ciągną się nieubłaganie wzwyż nudnym następstwem rzeczy powszednich. Gdy chcę przystanąć na chwilę i rzucam okiem poza siebie, popielate morze stopni przeży się ku mnie wężowymi skrętami<sup>14</sup>, że z trwogą odwracam się od szarej otchłani i wdzieram dalej, wyżej, wyżej, wyżej resztki sił, napinam zwiotczałe nerwy. Pot perlisty występuje mi na czoło chłodne jak żelazo, ręce drgają jak szalone, a tępy wzrok, wlepiony w opętaną drabinę, snuje się gnuśnie po pajęczych wiszarach...

Tak idę godzinami, bez przerwy, noc całą, a gdy już świt osrebrzy mą sypialnię, budzę się z potępieńczym znużeniem jak pielgrzym znużony. Szary, szary sen...

---

6 marca

Ciągle jeszcze dławi mnie po nocach ta sama zmora. Już drugi tydzień wędruję we śnie po plugawych schodach i połykam kurz zbutwiałych stopni. Lecz są i pewne zmiany. Sen zdaje się rozwijać nowe motywy i dążyć ku jakiemuś rozwiązaniu...

Nie jestem już sam w pylnej klatce: mam towarzysza. Spotykam go od minionej soboty zawsze mniej więcej w środku drogi ku górze. Wygląda na stróża tego dziwnego domostwa, bo w rękę pobrzękuje pękiem starych zardzewiałych kluczy. Schodzi skądś z górnych pięter, a stąpa tak cicho, że kroków nie słychać: idzie po schodach jak cień.

Szczególny człowiek. Nigdy na mnie nie popatrzy, jakby się bał mego spojrzenia, lecz ustępuje mi trwożliwie z drogi, przesuując swą wydłużoną postać tuż przy ścianie. Usiłowałem parę razy zajrzeć mu w twarz, lecz szeroki pilśniowy kapelusz nasunięty głęboko na czoło udaremnia moje wysiłki.

Minąwszy mnie, zstępuje niżej w dół i znika nagle jak widmo, gdy ja zajadle, bez tchu wdzieram się na nową, coraz wyższą kondygnację...

---

Dopiero wczoraj dotarłem nareszcie do końca obłąkanej klatki i stanąłem na czworokątnej platformie przed jakimiś drzwiami okutymi w żelazne sztaby. Tu był kres.

Oparłem się wyczerpany o spróchniałą balustradę ostatnich schodów naprzeciw wie-rzei<sup>15</sup> i wlepiłem wzrok w żelazne przecznice... Gdyby tak drzwi otworzyć i zajrzeć do wnętrza?

Uderzyłem ze wszystkich sił w żelazną zaporę, lecz okrwawiłem tylko ręce, które od bólu skurczyły się nerwowo i opadły bezradne.

Niezrażony, oparłem się całym ciałem o skrzydła, usiłując wyważyć je z zawiasów, i szamotałem się z upartymi antabami<sup>16</sup> w nadziei, że uda mi się je wyrwać z nitów. Lecz wściekle spoiwa trzymały z nieubłaganą wytrwałością i nie poddawały się.

Gdy zniechęcony niemal już słańiałem się na kolanach, uczułem, jak ktoś mi wsuwa w rękę jakieś ostre, stalowe narzędzie. Chwyciłem uradowany, zrozumiałwszy, że chce mi ułatwić zadanie, i wdzięczny zwróciłem się ku niespodziewanemu pomocnikowi. Lecz w tymże momencie odskoczyłem dziko w kąt między ścianą a balaskami<sup>17</sup>. Człowiekiem, który chciał mi się przysłużyć, był „stróż” spotykany po drodze na schodach. Kapelusz nie ocieniał mu teraz twarzy — cha, cha! — on jej nigdy nie mógł zakrywać, bo w miejscu twarzy czerniały tam tylko dwie puste jamy!...

---

<sup>13</sup>niewidomy (daw.) — niewidoczny, niewidzialny. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>wężowymi skrętami (daw.) — dziś popr. forma N. lm: wężowymi skrętami. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>wierzeje — drzwi. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>antaba — tu: metalowa sztaba zamykająca bramę lub drzwi. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>balaski — pionowe słupki w balustradzie. [przypis edytorski]

Zdaje mi się — prześniłem mój sen do końca. Obraz, który ujrzałem nocy dzisiejszej, nosi na sobie wszelkie cechy epilogu. Jeżeli się sprawdzi jutro, rozumni obserwatorowie życia, którzy ze zdumieniem śledzą me wyzwanie, może wreszcie pojmą je i przestają uważać mnie za wariata, skłonią w zadumie głowy:

— Tak być musiało.

Piszę te słowa spokojnie: tak spokojnie, że chwilami sam sobie się dziwię. Wszakże to jutro!

Godziny upływają mi zwykłym trybem, wydzwaniane miarowo przez stare zegary, zajęcia dnia powtarzają się z obojętną regularnością rzeczy zwyczajnych.

Na zewnątrz nie dzieje się nic. Wszystko po dawnemu, nigdzie podejrzanego rysy, niepokojącej zmiany. Takie to jakieś dziwne, tak okropnie dziwne! Wszakże jutro!

Chociaż... może się mylę, biorąc poważnie wytwory schorzałego mózgu, może ja się mylę... Zresztą wszystko mi jedno; jestem tak apatyczny, tak poddańczo zrezygnowany...

Właściwie nie wiem, po co to piszę. Wartość tych kilku kartek zawisła od jutra; jeśli ono odpowie snowi, pamiętnik będzie stanowił ciekawy dokument...

Jestem niby spokojny, a cały drzę jak w febrze i nie mogę w skupieniu skreślić paru linii. A spieszyć się muszę bardzo, bo czasu mam dzisiaj mało i chciałbym jeszcze odwiedzić wszystkich mych przyjaciół...

Chodzi tedy o epilog dzisiejszej nocy, o zakończenie snu, który dręczy mnie od kilku tygodni. Prawdziwie stylowy finał!...

W jakiejś porze nocy ujrzałem się znów przed okutymi drzwiami. Stały nieubłagane jak ostatniego razu. Lecz po dokładniejszym zbadaniu jednego z żelaznych skrzydeł dostrzegłem w nim wycięty prostokątny otwór. Prawdopodobnie wykroilem go sam za pomocą pilnika ubiegłej nocy, chociaż nie mogłem przypomnieć sobie odnośnego obrazu we śnie. Możliwe też, że był urzeczywistnioną proleptycznie<sup>18</sup> konsekwencją widzenia z przedwczoraj.

Zajrzałem przez otwór...

Za drzwiami był pokój.

Wyglądał na pracownię zamożnego człowieka, urządzonej ze smakiem i wykwinną prostotą.

W kącie stała oszklona szafka z orzecha na książki, na środku biurko, obok mały stolik z krzesłami, obciągniętymi ciemnozieloną skórą. Na ścianach parę obrazów, których treści nie pamiętam.

Za biurkiem, w szerokim fotelu z poręczami, siedział obrócony do mnie plecami jakiś mężczyzna i coś pisał. Od czasu do czasu odkładał pióro, aby zaciągnąć się cygarem, które dymiło obok w popielnicy, po czym zabierał się gorliwie do dalszej pracy. — A była dziwna.

Nieznamy widocznie nie pisał nic ciągłego, bo co parę chwil odkładał na bok zapisywaną krótko kartkę, aby zastąpić ją drugą. Miałem wrażenie, że zajęty jest adresowaniem. Staralem się uchwycić rysy jego twarzy, lecz nie udało mi się: siedział wciąż plecami ku otworowi i nie obejrzał się ani razu.

Tymczasem obok na biurku piętrzył się coraz wyżej stos kart. Były zgięte w połowie, ze sztywnego lśniącego kartonu i każda na grzbiecie, ze strony zewnętrznej, miała świeżo napisane atramentem cztery wyrazy. Były to oczywiście adresy różnych osób.

Stąd wnosilem, że wewnątrz kartony muszą zawierać jakąś treść drukowaną, i to jednakową dla wszystkich: może zaproszenia na jakąś rodzinną uroczystość?...

Nagle przerwał pisanie, potarł ręką czoło i jakby przypominając coś sobie, nacisnął guzik dzwonka.

Wszedł służący. Pan, nie opuszczając fotelu, wydał jakiś rozkaz poparty gestem, po czym ukrywszy twarz w dłonie, oparł się łokciami o biurko i zamyślił...

Wtem otworzyły się drzwi naprzeciw i weszło kilku ludzi z jakimś podłużnym, walcowatym pakietem; za nimi wnosło do pokoju dwóch wyrostków trzy podwójne drabiny.

Pan domu nie podniósł czoła, lecz z głową pochyloną siedział nieruchomo w poprzedniej pozycji.

<sup>18</sup>proleptycznie (z gr.) — przewidująco, uprzedzając mające nastąpić wydarzenia. [przypis edytorski]



Wtedy ludzie poczęli rozwijać swe rulony, z których obsunęły się na posadzkę szerokie, morowo lśniące płaty czarnej kitajki<sup>19</sup>. Jeden z wyrostków poprzystawiał do ścian gabinetu drabiny, po czym skinąwszy na towarzysza, wysliznął się cicho z pokoju. Pozostali podzielili się na dwie partie; jedni wstąpili na szczeble, unosząc ze sobą w górę krucze opony<sup>20</sup>, drudzy, pozostali u dołu, odmotywali zwoje, przekrawując materię nożycami, gdy w odpowiedniej długości pokryła ścianę.

Z kolei nastąpiło przybijanie kirów<sup>21</sup>. Słyszałem wyraźnie suchy stukot młotków, uderzających o mur, w uszach zgrzytał mi jęk gwoździ, które natrafiały na twardą przeszkodę...

Praca szła w szalonym tempie; po kilku chwilach zewsząd zwisały okropne makaty, przesłaniając wszystko jednolitą, połyskującą metalicznie czernią.

Skończywszy pracę, robotnicy odeszli. Nieznajomy wciąż siedział nieruchomo za biurkiem, nie podnosząc twarzy. Zdawał się nie dostrzegać zmiany, jakiej uległo otoczenie.

Wtem znów otworzyły się drzwi naprzeciw i do pokoju wniosło paru chłopaków kilkanaście wazonów z kwiatami, doniczki ze świeżymi pękami tuberoz, lewkonii, mirtów, stopy wieńców z białymi szarfami. Złożywszy je pod oknem, zniknęli z powrotem.

Po chwili u wejścia ukazał się służący i otworzył szeroko skrzydła drzwi, czyniąc gest zapraszający do wnętrza. Wtedy dopiero pan domu podniósł się na przyjęcie gości. Oparłszy się lewą ręką o brzeg stołu, drugą wyciągnął ruchem wytwornym na powitanie.

Niedługo czekał. Niebawem w drzwiach zaczerniało parę postaci męskich w stroju wieczorowym. Szybko przeszedłszy chodnik, rozestany od wejścia do biurka, ściskali w milczeniu dłoń gospodarza. Twarze poważne, surowe, skupione. Poznałem ich: byli to moi najbliżsi znajomi. Potem przyszli inni. Żaden nie był mi obcy: sami towarzysze pracy, koledzy, gdzieś tam ludzie przygodnie poznani. Poprzez zwarty tłum ubrań wieczorowych dojrzałem tu i ówdzie kilka kobiet z towarzystwa, do którego należałem.

Goście po przywitaniu się z panem domu usunęli się w głąb pokoju, zapewniając go powoli ciemnym zastępem. Nie było słychać żadnych rozmów, żadnych szeptów: panowało głuche milczenie, nieprzerywane nawet słowami przywitania; podawano sobie tylko ręce bez słów, jakby w niemych porozumieniu...

Nagle tłum rozsunał się wśród oznak szacunku i tworząc szpaler, przepuścił środkiem jakąś kobietę, ubraną w ciężką żałobę. Spod zapuszczonego kwefu wymykały się połyskujące ciepło na skrętach ciemnopłowe pukle włosów; smukła i gibka jak trzcina, szła krokiem pełnym utajonej dystynkcji<sup>22</sup>, której nawet ból i żałoba chwili nie zdołały zatrzeć.

Ujrawszy wchodzącą, nieznajomy mężczyzna postąpił ku niej i wyciągnął ramiona. Obsunęła się w nie bez słowa i na długą chwilę spoczęła w cichym objęciu. Po czasie on dźwignął wiotką jej kibić i oparłszy na swoim ramieniu, odsunął przed oczu jej welon... Kobieta była moja żona...

Długo, długo wpatrywał się w jej twarz, w jej prześliczne oczy i chłonał słodycz jej spojrzenia. Potem powoli, nie spuszczać z niej wzroku, sięgnął wstecz ręką ku biurku i wzięwszy ze stosu leżących tam kart jedną, otworzył ją i podał Marcie do przeczytania...

Była to klepsydra pogrzebowa. Rzucała się w oczy data: 11 marca 1906, a nad nią nazwisko zmarłego: Atosal. — Dziwne nazwisko!...

Nagle przyszło mi na myśl, że należy je odczytać na wspak. Zacząłem... W miarę jak porządkowałem wstecznie litery, nieznajomy powoli obrócił się ku mnie twarzą i... wśród okrzyku grozy obudziłem się.

---

Dopisek wydawcy pamiętnika:

W. Lasota zmarł dnia 11 marca 1906 roku śmiercią nagłą, trafiony w głowę przez spadającą z rusztowania cegłę.

---

<sup>19</sup>kitajka (daw.) — tkanina jedwabna. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>opona (daw.) — zasłona. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>kir — czarna tkanina, symbol żałoby. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>dystynkcja — tu: dystyngowane zachowanie. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-niesamowita-opowiesc-przed-droga-daleka/>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Grabiński, *Nowele*, Wyd. Literackie, Kraków 1980

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja dofinansowana ze środków Fundacji PFR. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Aleksandra Sekuła, Patrycja Józwiak, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).